



Wschodnia pierzeja ul. Marszałkowskiej. Od prawej za kamienicami nr 118, 120, 122 gmach Towarzystwa Ubezpieczeń „Rosja” (nr 124/126/128), 1938 r. Fot. Henryk Poddębski/Biblioteka Cyfrowa Politechniki Warszawskiej

Wprowadzenie

Nie ukrywam, że dla mnie, rodowitego od pokoleń warszawiaka, to bolesny temat. Towarzyszy mi uparcie już od dziesiątków lat mojego świadomego życia. Wciąż chcę widzieć fragmenty tamtej Warszawy, jej pojedyncze kamienice czy gmachy, które mogłyby ją dzisiaj urozmaicać i ozdabiać. Ale ich nie ma.

Nie opuszcza mnie ten temat, kiedy jestem w innych metropoliach Europy. Chyba nawet powraca do mnie wówczas ze szczególną siłą i tęsknotą. Szczególną dlatego, że może z wyjątkiem Berlina prawie wszystkie stolice europejskie mają całkowicie albo w olbrzymiej większości zachowaną substancję miejską ścisłego centrum, najczęściej odwiedzanego przez mieszkańców i przyjezdnych.

Może porównywanie Warszawy do metropolii Zachodu nie jest szczególnie trafne, ale na przykład przy paryskich ulicach zachowała się stara miejska substancja. Dużo większą tęsknotę za czymś utraconym (tu zawsze powraca pytanie, czy bezpowrotnie) przynosi wizyta w którejś ze środkowoeuropejskich stolic: Wiedniu, Pradze, a przede wszystkim w znanym mi dobrze Buda-



Ul. Marszałkowska między Piusa XI a Wilczą, od prawej kamienice nr 54, 56, 58, 60, 62, 64 i nast., przed 1939 r. Fot. Dzdzisław Marcinkowski/AP w Warszawie

peszcie. Niektóre ulice, ba, nawet kamienice, w stolicy Węgier są uderzająco podobne do tych, które stały kiedyś w naszej stolicy – tamtym mieście, którego dziś nie ma. Budapeszteńskie ulice z ich pierzejami, światłem i cieniem na domach, a nawet zapachem dają wyobrażenie, co czuł przechodzień sierpniowego dnia Anno Domini 1939 na śródmiejskich ulicach Warszawy.

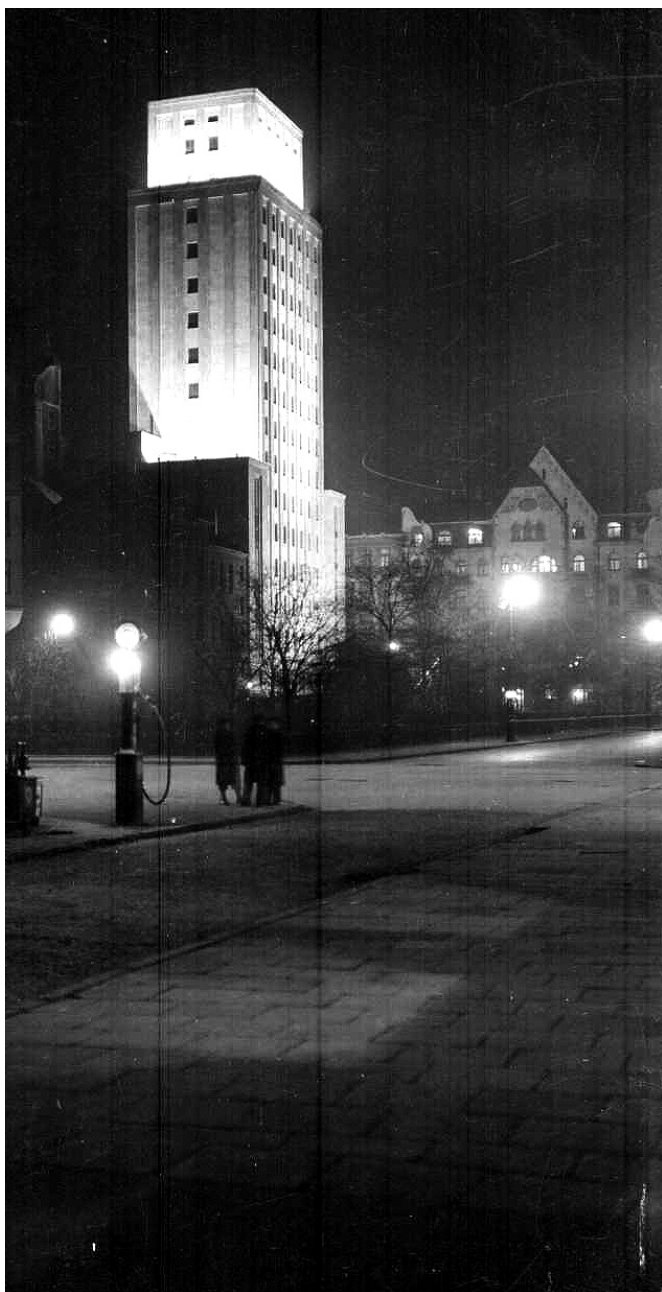
A istniały takie fragmenty Warszawy, gdzie rzeczywiście bez kompleksów mogliśmy odczuwać dumę z naszej stolicy. Było to niesłychanie ciekawe i zróżnicowane miasto. Wspaniałe były wielopiętrowe kamienice śródmiejskie, szczególnie wokół handlowo-rozrywkowej Marszałkowskiej i reprezentacyjnych Alej Ujazdow-



skich. Na Marszałkowskiej wśród dziewiętnastowiecznych eklektycznych czynszówek stały, urozmaicając linię jej gabarytu, wielopiętrowe kamienice secesyjne. Za placem Zbawiciela, mimo że nie uważano tej części miasta za jego ścisłe centrum, również nie brak było reprezentacyjnych wielopiętrowych domów. Mniej-sze luksusowe kamienice znajdowały się przy Szopena (Chopina), Matejki czy Czackiego. Tam już była zieleń drzew, dominował pożądany spokój i czuć było zasobne konta mieszkańców. Ulice te zabudowano eklektycznymi kamienicami jeszcze w drugiej połowie XIX wieku.

Olbrzymie secesyjne budynki wystrzeliwały swymi masywnymi kubaturami na Moniuszki, Jasnej, Sienkie-

Ten sam fragment Marszałkowskiej, widok od Wilczej w kierunku pl. Zbawiciela, ok. 1935 r. Fot. Zdzisław Marcinkowski/AP w Warszawie



wicza. Patrząc sprzed gmachu dawnej Poczty Głównej na zachodnią stronę placu Napoleona (dzisiaj plac Powstańców Warszawy) i jego przecznice, przedwojenny warszawski przechodzień mógł czuć, że znajduje się w centrum wielkiej metropolii wielkiego państwa, nieodbiegającej standardem zabudowy od na przykład Budapesztu lub Paryża. Naprawdę było na czym zawiesić oko.

W dużym stopniu inny od Śródmieścia charakter miała dzielnica żydowska, zwana dzielnicą północną. Stanowiąca miasto w mieście, wyróżniała się swoistym kolorytem, przyspieszonym tempem życia ulicznego z jego gorączkowym gwarem i pośpiechem. Wyobraźmy sobie tramwaj przeciskający się wąskimi ulicami Nalewki i Muranowską z ich kontrastem bogactwa i biedy; duże magazyny sąsiadujące z ciasnymi sklepikami, dobrze ubrani, zażywni właściciele obok mizerynych subiektów, a za dekoracyjnymi elewacjami kamienic bieda wielopodwórzowych oficyn. Co chwila rozlegał się rozpaczliwy dźwięk dzwonka tramwaju na wypełnionych potokiem ludzkim ulicach. Przeludnione kamienice oblepione były mnóstwem szyldów, na chodnikach i w długich podwórkach oficyn często można było słyszeć hebrajski lub jidysz w mowie dyskutujących i targujących się przechodniów. Wbrew pozorom dzielnica żydowska to nie wyłącznie obszar ubóstwa; plac Muranowski czy ulica Muranowska miały zabudowę kamieniczną o nieodbiegającym od śródmiejskich domów standardzie.

Dzisiaj na miejscu tej wielkiej gęsto zabudowanej i zaludnionej, kipiącej życiem dzielnicy widać bloki nieco sennych osiedli mieszkaniowych mogących stać na

na s. 14

Pl. Napoleona, przed 1939 r. Z lewej budynek Towarzystwa Ubezpieczeń „Prudential”, w głębi kamienica hr. Ostrowskiego. Fot. Zdzisław Marcinkowski/AP w Warszawie





Pl. Zbawiciela
z lotu ptaka,
ok. 1931 r.
Fot. Polona



**Ulica Nalewki od
pl. Muranowskiego
do Franciszkańskiej.
Od lewej kamienice
nr 40, 38, 36, 34
i nast., ok. 1930 r.
Fot. Zdzisław
Marcinkowski/
AP w Warszawie**

peryferiach każdego innego dużego miasta. Po zaginionym świecie dzielnicy żydowskiej pozostał w Warszawie tylko jej słaby refleks – cmentarz przy Okopowej.

Przemysłowa Wola miała swoją reprezentacyjną Marszałkowską w postaci ulicy Chłodnej, ale i na Wolskiej zdarzały się domy, które mogłyby bez kompleksów zdobić śródmiejskie ulice.

Powisłe, matecznik warszawskiego przemysłu, to już inna, skromniejsza skala zabudowy mieszkalnej, gęsto przy tym przetykanej fabryczkami, warsztatami, składami. W latach trzydziestych XX wieku przechodziła trwałą, jak się wydawało, metamorfozę zabudowy w jakościowo lepszym kierunku.



Warszawa lat trzydziestych XX wieku miała olbrzymi potencjał intelektualny i ekonomiczny, a władze nią zarządzające wolę zmian i wizję rozwoju, która mogła zmienić miasto w wielomilionową, wspaniałą metropolię, stolicę Europy Środkowo-Wschodniej. Można wysnuć hipotezę, że gdyby nie kataklizm lat 1939–1945 Warszawa miałaby trzy wielkie centra: jedno tradycyjnie handlowe wokół osi Marszałkowskiej, drugie to centrum finansjery żydowskiej Europy Środkowej w dzielnicy północnej i trzecie reprezentacyjne, o znaczeniu państwowym, na zabudowanym terenie Pól Mokotowskich. W różnych punktach Śródmieścia czy Woli na postindustrialnych terenach wystrzelałyby w niebo

Sklepiki, warsztaty i zakłady na jednym z podwórek przy ul. Nalewki, ok. 1931 r. Fot. Zdzisław Marcinkowski/AP w Warszawie

wieże banków lub hoteli. I do tego trzeba dodać rozbudowane dzielnice peryferyjne Żoliborza, Ochoty czy Mokotowa przechodzące wzdłuż linii kolejowych w podmiejskie miasta ogrody.

Ale wróćmy do Śródmieścia. Wyobraźmy sobie dzisiaj tramwaj sunący na wyciszonych torach Marszałkowską. Ulica ma zamiast asfaltu trotuary z małą architekturą ławek, gazonów i kiosków. Na parterach kamienic ulokowały się najlepsze światowe firmy odzieżowe, świetne restauracje i kawiarnie. Przechodnie i różnorodny tłum turystów spokojnie przechadza się w cieniu dorodnych platanów. A powyżej parterów raduje oko, utrzymany w pastelowych kolorach, wystrój kamienic neorenesansowych, neogotyckich, secesyjnych, projektowanych przez najlepszych warszawskich architektów: Witolda Lanciego, Józefa Husa, Dawida Landego, Henryka Stifelmana, Władysława Marconiego, Alfonsa Kropiwnickiego...

Właśnie taka Warszawa nie opuszcza moich marzeń, przypomina o sobie, gdziekolwiek bym był, i nakazuje pamięć o niej przekuć w akt oskarżenia.

Nie będę tu poświęcał uwagi głównym sprawcom zniszczenia Warszawy – Niemcom. Niszczenie Warszawy przez hitlerowców jest już wystarczająco opisane w literaturze i udokumentowane w materiałach filmowych. Przypomnę, że Niemcy czynili to etapami: w czasie barbarzyńskich bombardowań Warszawy w 1939 roku i po powstaniu w getcie, kiedy wyburzono dzielnicę żydowską w latach 1943–1944. Zniszczenie miasta związane jest jednak przede wszystkim z powstaniem warszawskim, które przyniosło prawie całkowitą materialną zagładę lewobrzeżnej Warszawy. Pewne zniszczenia



Kamienica przy Wolskiej 51 róg Skierniewickiej 33, 1938 r. Fot. AP w Warszawie



Ulica Chłodna, widok od kościoła pw. św. Karola Boromeusza w kierunku Hal Mirowskich, w głębi „czatownia” Straży Ogniowej. Po prawej kamienice nr 7, 5 i 3, przed 1939 r. Fot. Henryk Poddębski/Wikimedia Commons

przyniosły także bombardowania sowieckie, zwłaszcza w 1943 roku.

Coraz powszechniejsze jest przekonanie o bezsensownej decyzji przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i sztabowców Komendy Głównej Armii Krajowej wydających decyzje o podjęciu otwartej walki o Warszawę w roku 1944. Wszystkie doświadczenia z akcją *Burza* na Kresach, z walkami o Wilno i Lwów, ale i o Lubelszczyznę były dowodem, że osiągnięcie celu politycznego powstania było naiwną mrzonką, niepodpartą żadnymi precedensami. Było to myślenie życzeniowe, a nie racjonalne przywódców polskich. Nie było żadnych szans, aby Sowieci przyznali rolę polskie-

go gospodarza niezależnej od Stalina Delegaturze Rządu na Kraj.

A Niemcy byli dobrze przygotowani na wybuch powstania w Warszawie. W bunkrach, umocnionych gmachach i kwartałach zabudowy czekali uzbrojeni po zęby na atak prawie bezbronnych młodych ludzi, najlepszych, jakich Polska wówczas miała. Powstanie było masakrą dla powstańczego wojska i mieszkańców stolicy. Decyzja przywódców Polskiego Państwa Podziemnego powinna być surowo osądzona, żołnierzy Armii Krajowej zaś za ich męstwo i patriotyzm należy stawiać za wzór przyszłym pokoleniom.

Samym Niemcom wybuch powstania w Warszawie rozwiązał ręce. „Z historycznego punktu widzenia czyn

Panorama Powiśla od strony Zamku Królewskiego, z lewej zabudowania przy Nowym Zjeździe, 1925 r. Fot. Zdzisław Marcinkowski/AP w Warszawie



Polaków jest błogosławieństwem. Pokonamy ich w ciągu pięciu, sześciu tygodni. Wówczas jednak Warszawa, stolica, centrum, inteligencja tego 16–17-milionowego narodu Polaków zostanie zlikwidowana. [...]. Tym samym z historycznego punktu widzenia problem Polski dla naszych dzieci, dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, a nawet już dla nas przestanie być problemem”¹. Słowa te wypowiedział Heinrich Himmler 21 września 1944 roku.

Po Akcji AB i masowych egzekucjach w Palmirach, po Auschwitz-Birkenau, Katyniu, gułagach, deportacjach wrogom Polski została jeszcze tylko Warszawa z całym jej potencjałem ludzkim i materialnym, w której pod koniec wojny wybuchło powstanie... Warszawa po pięciu latach morderczej niemieckiej okupacji, z całym tym potencjałem, powinna była być właśnie przez dowództwo AK i podziemny rząd polski wyjątkowo chroniona. Ten potencjał był bardzo potrzebny w obliczu nadchodzącej nowej okupacji, długotrwałej i głęboko przenikającej społeczeństwo. Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego powinni byli dobrze znać (i wielu znało) charakter komunizmu sowieckiego. W roku 1944 Polsce potrzebna była długofalowa polityka, jak maksymalnie uchronić kraj przed kolejną okupacją i komunistyczną degeneracją, a nie rzucanie się z butelkami z benzyną na i tak już przegranych Niemców. Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego zakończyli okupację hitlerowską spektakularną katastrofą, jakiej Polska nie znała.

Kazimierz Brandys, widząc stolicę w 1945 roku, pisał:

na s. 25

**Pałac
Kronenberga,
ok. 1934 r.
Fot. Polona**



Na widok smutnej reszty, jaka została na ziemi po ulicach Warszawy, trudno mi było opędzić się od myśli, że ludzie, którzy ją pchnęli w obłąkaną walkę, nie byli z tego miasta, że przyszedli z jakiegoś mrocznego kąta świata, gdzie nie szanuje się istnień żywych i martwych, przeszłych i przyszłych, gdzie nie dba się o nic i o nikogo – tylko o rzeczy własne².

Po dwumiesięcznej hekatombie powstania i całopaleniu po jego upadku nasza stolica jako jedyna metropolia Europy była niemal całkowicie wyludniona. Uległa potwornym i bezprecedensowym zniszczeniom przy postawie życzliwej bezczynności Stalina spokojnie obserwującego z prawego brzegu Wisły śmierć miasta. Po upadku powstania przywódca państwa sowieckiego czekał jeszcze trzy i pół miesiąca, aż Niemcy zniszczą Warszawę do końca. Powstanie i to, co nastąpiło potem, pogrzyżyło bogatą lewobrzeżną część miasta na lata w ciemności, natomiast peryferyjna biedna Praga, gdzie powstanie trwało kilka dni, w pierwszych latach powojennych jarzyła się tysiącami świateł.

Zachowane zdjęcia są dowodem, że nie udało się jednak unicestwić Warszawy doszczętnie. Również relacje korespondentów prasowych i samych warszawiaków świadczą, że w pierwszych miesiącach 1945 roku w Warszawie było prawie nienaruszonych lub w stopniu nadającym się do odbudowy wiele budynków. Problem w tym, że te gmachy dzisiaj fizycznie nie istnieją lub wegetują w okaleczonej, bez swej poprzedniej wartości formie. Dlaczego rozbito na poszczególnie cegły doskonale zachowane mury pałacu Kronenberga, dlaczego rozebrano zachowany wielki dom biurowy firmy farmaceutycznej Spiess, dlaczego z takim zawziętym



uporem skuwano dekoracyjne fasady ocalałych warszawskich kamienic, doprowadzając je *de facto* do stanu bezwartościowych ruder? Te przykłady można mnożyć w setki (jeśli nie tysiące) unicestwionych lub oszpeczonych obiektów.

Gdyby była wola zachowania tego, co w roku 1945 ocalało lub nadawało się do odbudowy, przynajmniej jakąś część przedwojennej Warszawy moglibyśmy odzyskać, tamtej Warszawy, niepowtarzalnej w skali całego kraju i jego historii. Żadne inne duże miasto polskie nie może w najmniejszym stopniu zastąpić Warszawy skalą wielkomiejskiej zabudowy XIX i XX wieku, polskością jej architektury czy liczbą i znaczeniem zgromadzonych tam zabytków, o innych rzeczach nie wspominając.

**Płonąca Warszawa,
IX 1939 r.
Fot. Zdzisław
Marcinkowski/
AP w Warszawie**





Panorama
Śródmieścia
od skrzyżowania
Marszałkowskiej
z Al. Jerozolimskimi
w kierunku
pl. Piłsudskiego,
IX 1939 r. Fot. AP
w Warszawie

Książka ta będzie mówiła o ostatnim etapie niszczenia Warszawy już po roku 1945, tym razem rękami polskimi i przede wszystkim w Śródmieściu – dzielnicy najbardziej narażonej na wizje powojennych „uzdrawiaczy miasta”. A niszczone akurat to, co świetnie nadawało się do odbudowy, czyli wiele kamienic i gmachów mających nieszczęście pochodzić z drugiej połowy XIX i pierwszych dwóch dekad XX wieku. Doburzano dokładnie to, co świadczyło o niekwestionowanej stołeczności, wielkomiejskości, potędze warszawskiej klasy średniej. Wszystko to, co tożsame było ze starą mieszczańską tradycją miasta. Całkiem świadomie zamierzano uczynić z Warszawy sztuczny twór niemający nic wspólnego z naturalnym rozwojem, jaki przechodziła przez setki lat.

Według ludzi odpowiedzialnych za powojenny kształt miasta warte przywrócenia Warszawie było Stare Miasto, zabytki z epoki Stanisława Augusta Poniatowskiego oraz wrywkowo odbudowane niektóre budynki z czasów Królestwa Polskiego (1815–1830). Zamierzano także odbudować solidne domy z dwudziestolecia międzywojennego dla urzędów i ludności odbudowującej miasto. Zatem to, co w innych metropoliach stanowi o stołeczności i wielkomiejskości, to, co jest niewątpliwą ozdobą dzisiejszych europejskich bulwarów i placów – architektura lat 1850–1914 – miało zniknąć z przestrzeni historycznej i materialnej stolicy. Wyobraźmy sobie Wiedeń, Pragę czy Budapeszt bez dominującej w nich zabudowy i urbanistyki z przełomu XIX i XX wieku. Warszawę po drugiej wojnie światowej świadomie pozbawiono resztek tej zabudowy na skutek decyzji lewicowych władz i instytucji zarządzających miastem.

Władze te wydały walkę nie tylko materialnej mieszczańskiej spuściznie Warszawy. Po 1945 roku czyniono wiele wysiłku, aby zmienić skład społeczny Warszawy, między innymi poprzez osławiony dekret Bieruta z 26 października 1945 roku, politykę podatkową, zorganizowaną akcją przesiedlania rdzennych warszawiaków w inne rejony Polski.

Książka ta oskarża przede wszystkim lewicową, radykalną inteligencję techniczną zrzeszoną w instytucji politycznej pod nazwą Biuro Odbudowy Stolicy. Idee i plany budowy nowego miasta na miejscu dawnej Warszawy stworzone przez ludzi BOS w następnych dekadach kontynuowano rękami kolejnych ekip zarządzających miastem. W ekipach tych zasiadała dawna elita BOS lub sukcesorzy jego idei. Ekipy te po 1945 roku świadomie doburzały naszą stolicę, odbierając jej wielkomiejski i mieszczański charakter. W tej książce postaram się udowodnić, że czyniono to planowo i z wielką nienawiścią do zabudowy z okresu, kiedy Warszawa rozwijała się w wielką europejską metropolię, czyli lat 1850–1914.